

Ewa Martynkien

MOJ KUMPEL  
JEREMI

Ewa Martynkien

# MÓJ KUMPEL JEREMI



Ewa Martynkien  
**Mój kumpel Jeremi**

© by Ewa Martynkien  
© by Wydawnictwo Literatura

III nagroda w V Konkursie Literackim  
im. Astrid Lindgren



Okładka i ilustracje: Artur Nowicki  
Korekta i redakcja: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I  
ISBN 978-83-7672-793-6

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2020  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl

## Piegus



– No podaj! – krzyknąłem do mojego najlepszego kumpla Jeremiego. – Dawaj!

Dziś rano w parku obok placu zabaw znaleźliśmy dziurawą piłkę i graliśmy nią przez cały dzień. Stara futbolówka z wielką dziurą, bez powietrza, choć już dawno straciła swoje krągłe kształty, okazała się zupełnie fajną zabawką. Od kilku godzin dostarczała nam niesłychanie dużo frajdy.

– Masz! – wrzasnął Jeremi i kopnął piłkę wysoko w górę.

Patrzyłem, jak wystrzępiony, podarty kulisty zbitek wznosi się nad drzewami i po chwili, poddając się sile ciężenia, opada na ziemię. Był na wysokości ławek, gdzie rozsiedli się zwolennicy cienistych alejek, bo choć nadchodziła jesień, słońce grzało jeszcze niemal jak w środku

upalnego lata. Moja koszulka była mokra od potu, a sól na wargach przypominała, że znów trzeba napić się wody.

– Daeś czadu, stary! – Pobieglem w strone, gdzie wydawalo mi sie, ze pilka musiala upasc.

Jeremi zatrzymal sie w polowie drogi, odgarnal wlosy z czoła. Postanowil nie scinac ich w czasie wakacji i teraz jego jasna grzywka siegajaca policzka spadala mu na oczy za kazdym razem, gdy wykonywal zbyt gwałtowne ruchy. Najwyraźniej nie chialo mu sie juz grac albo cos zupełnie innego przyszlo mu do głowy, bo stal na srodku trawnika, nie kwapiac sie, zeby mi pomoc.

– Zostaw! – zawolal. – Mamy fajniejsze rzeczy do roboty!

– Poczekaj! – Nie zrozumialem, co mial na mysli. Nie moglem sobie przypomniec, zebyśmy sie na cos umawiali. Caly dzien spedziliśmy w parku i naprawde swietnie sie bawiliśmy.

– Chodz! Daj sobie spokoj z tym flakiem! – Jeremi zrobil w tyl zwrot i ruszyl przed siebie, nie ogladajac sie na mnie.

Odkad pamietam, a znalismy sie od przedszkola, taki wlasnie byl – lubil czasem chodzic wlasnymi drogami. Zdarzalo sie, ze zupełnie nieoczekiwanie wpadal na jakis



pomysl i biegł, nie mówiac mi, o co chodzi. Ktos, kto nie znal dluzej Jeremiego, mogłby uznac, ze jest po prostu zarozumialy albo niezbyt towarzyski.

– Zaraz sie znajdzie! – krzyknalem za nim.

Pomyslalem, ze pilka jest fajna i moglibyśmy zarekwirowac ja na zawsze. Super sie odbijalo takim kapciem i moze jeszcze kiedyś ja wykorzystamy.

– Tego szukasz? – uslyszalem nad głowa.

Wygramolilem sie spod ławki. Przede mną stalo trzech wyrostków. Jeden z nich, ten najwyzszy w czerwonej czapce z daszkiem, trzymal w ruku nasza pilke. Dwóch pozostałych patrzylo na mnie z niechęcia. Byli przynajmniej ze dwie głowy wyzsi ode mnie. Wlosy ulozone na zel, nieskalanie czyste buty w typie sportowym

i markowe bluzy. Wyglądali jak bliźniacy w tych swoich dresach. Nie sprawiali sympatycznego wrażenia i wolałem nie wdawać się z nimi w dyskusję.

– No! Dzięki! – Chciałem wziąć czym prędzej piłkę i sobie pójść, ale dryblas w czapce pozwolił mi jej dotknąć, a następnie cofnął ręce. Cała trójka wybuchła śmiechem.

– Nie tak szybko! Dostałem tym flakiem w głowę, więc musisz mnie przeprosić. – Chłopak splunął mi pod nogi i gdybym nie zdążył się przesunąć, jego ślina znalazłaby się pewnie na moim bucie.

Koledzy znów zarechotali chórem.

Byłem pewien, że stroili sobie ze mnie żarty, że piłka nikogo nie trafiła, spadła sobie bez troski na trawnik i potoczyła się pod ławkę. Jeślibym teraz go przeprosił, pewnie śmialiby się ze mnie do rozpuku. Co, jeślibym tego nie zrobił? Może nie odzyskałbym piłki. Nie zamierzałem odpuścić, bo futbolówka była nasza i nawet jeśli już trochę wysłużona, i nie przypominała piłki, to my ją znaleźliśmy.

– No, piegusie! Przeproś! – Wyrastek z piłką wyraźnie tracił cierpliwość.



Faktycznie, moja twarz jest cała w piegach. Miałem je od zawsze, a latem przybywa ich wraz z ilością czasu spędzonego na świeżym powietrzu i słońcu. Nic na to nie mogę poradzić. Zdążyłem się do nich przyzwyczaić, jak do swoich ciemnobrązowych, kręconych włosów i jasnej karnacji. Są i już. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

Ostatni raz w pierwszej czy drugiej klasie Tymek nazywał mnie piegopatym koczokodanem i zaczęliśmy się przepychać. Wtedy pan Krzysztof, nasz wychowawca, rozdzielił nas i całej klasie opowiedział historię o tym, jak będąc pięcio- czy sześciolatkiem spędzał wakacje w gospodarstwie swoich dziadków. Była tam gęś, która bardzo lubiła za nim chodzić. Wkrótce stali się nierozłączni i pan Krzysztof nadał jej imię Emma. Chodziła z nim po mleko do sąsiedniego gospodarstwa i do kiosku po gazetę dla dziadka, nad staw i do lasu, i po jagody.

Pewnego dnia Emmie wykluły się małe gąski. Była niezmiernie szczęśliwa, troskliwie się nimi opiekowała, a kiedy trochę podrosły, dumnie spacerowała z maluchami po podwórku. Niestety któreś nocy do komórki, gdzie nocowały gęsi, zakradł się lis i zadusił maluchy. Emma była w rozpacz, bardzo, ale to bardzo za nimi tęskniła. Nikt nie wiedział, co zrobić, by ją pocieszyć. Przesta-

ła jeść i gęgać na kury i indyki, jak to miała wcześniej w zwyczaju. Siedziała smutna w cieniu jabłoni i tylko na noc wracała do komórki.

Pewnego dnia Emma zniknęła i choć szukali jej do wieczora, przepadła jak kamień w wodę. Pan Krzysztof znalazł ją dopiero po dwóch dniach za stodołą sąsiada. Emma za żadne skarby nie chciała się stamtąd ruszyć. Okazało się, że ktoś podrzucił tam maleńkie kocięta i Emma zaopiekowała się nimi. Spały wtulone w jej ciepły puch. Została więc ich mamą i opiekowała się nimi tak długo, aż podrosły i stały się samodzielne.

– Różnorodność – tłumaczył nam pan Krzysztof – panuje wszędzie – wśród zwierząt, roślin i ludzi. Tylko od nas zależy, co z tym zrobimy.

Od tamtego czasu nikt mnie już nie przezywał. Aż do dzisiaj.

Nim zdążyłem zastanowić się, co odpowiedzieć dryblasowi, nadbiegł Jeremi. Chyba wyczuł, o co chodzi, bo od razu zbliżył się do chłopaka w czapce i wyrwał mu energicznie piłkę.

– Przepraszamy. Nie chcieliśmy – wycedził naprędce i odwrócił się na pięcie, rzucając do mnie: – Wiejemy!

Gnaliśmy przez trawniki, nie zważając na wylegujących się spacerowiczów, którzy prażyli się na kocach bądź

piknikowali w cieniu. Nie wiem, ile butelek z wodą przewróciłem i ile kanapek rozgniotłem, próbując je przeskoczyć. Tamci biegli za nami i niewiele brakowało, żeby nas dogonili. Obaj wiedzieliśmy, że musimy jak najszybciej znaleźć się nad stawem, gdzie znajdowała się nasza tajna baza. Aby czym prędzej dopaść krzewów, przy brzegu przebiegliśmy skrótem koło kiosku, w którym niedawno ktoś zaczął sprzedawać przekąski i napoje. Schowaliśmy się za jedną ze ścian i poczekaliśmy, aż nas miną, a potem wróciliśmy na drogę, wpadliśmy w gęstwinę i przedzierając się przez chaszczę, dotarliśmy do naszej kryjówki. Nie było mowy, żeby nas tutaj znaleźli.

Rok temu na początku lata wybudowaliśmy z gałęzi szałas. Był świetnie ukryty w samym środku zarośli, żeby nikt nie mógł nas znaleźć. Podłoże wyściełaliśmy suchymi liśćmi, po pierwsze, żeby można było usiąść, a po drugie, ponieważ w ziemi wykopaliśmy dół, a w nim trzymaliśmy trochę niezbędnych rzeczy na wypadek, gdyby trzeba było podreperować szałas: sznurek, stary tępy scyzoryk, kamień, który służył nam za młotek, i – nie wiedzieć po co – trochę zardzewiałych gwoździ. Mieliliśmy więc bazę i własną flagę, którą uszyła nam moja babcia Marysia. Naszyła na niej pierwsze litery naszych imion

„OJ”. „O” jak Oskar i „J” jak Jeremi. Byliśmy więc drużyną „OJ”.

– O mały włos! – Jeremi rzucił się zdyszany na ściółkę z suchych liści i trawy, a flakowatą piłkę podłożył sobie pod głowę.

Nie mogłem złapać oddechu.

– Mogliśmy nieźle oberwać. – Padłem obok.



Leżeliśmy w milczeniu, próbując ochłonać. Szum gałęzi i odgłosy ptaków pomagały zebrać myśli. Jeremi wyjął po chwili piłkę spod głowy i przyglądał się jej z uznaniem.

– Fajna nawet. Faktycznie jeszcze nam się przyda. – Jej opłakany stan zdawał się mu teraz w ogóle nie przeszkadzać.

– Chciałem ich jakoś sprytnie podejść – wróciłem do wydarzeń w parku – żeby sami ją oddali.

– Czekałbyś do jutra. – Jeremi rzucił piłkę w moją stronę. Zrobił to zbyt gwałtownie i nie zdążyłem jej chwycić. Potoczyła się do wyjścia.

– Ale przynajmniej nie narażalibyśmy życia – zauważyłem praktycznie i podniosłem naszą zdobycz.

– No coś ty, ci dwaj bez czapek to moi sąsiedzi z klatki. Chcieli nas tylko postraszyć – oznajmił Jeremi, całkiem obojętnie patrząc w dziurę przy wierzchołku szałas.

– Bujasz! – Spojrzałem na niego zaskoczony, ale Jeremi pokręcił głową i po chwili łypnął na mnie rozbawiony.

Zanieśliśmy się śmiechem.

To był ostatni dzień wakacji. Przez szpary pomiędzy gałęziami, z których zrobiliśmy szałas, przenikały promienie słońca i tworzyły fikuśne wzory na ścianie naszej

kryjówki, o której z siedmiu miliardów ludzi na Ziemi wiedzieliśmy tylko my dwaj i nikt więcej.

Następnego dnia zaczynała się szkoła. Szliśmy do czwartej klasy. Wszystko miało być inaczej niż dotąd: przedmioty, nauczyciele, chłopaki ze starszych klas, których do tej pory nie spotykaliśmy zbyt często, bo uczyliśmy się w innym budynku, mieliśmy też własny plac zabaw i małe boisko. W sumie to nawet się cieszyłem, że skończyliśmy trzecią klasę. Czułem się bardziej dorosły i bardziej ważny, aczkolwiek towarzyszył mi niepokój, jak zwykle, gdy coś było mi nieznanym.

Ponad wszystko bałem się o naszą przyjaźń, bardzo nie chciałem, by coś się zmieniło, by coś, co mogłoby nas rozdzielić, stanęło nam na drodze. Jeremi był najfajniejszym kumplem na świecie i za żadne skarby nie chciałem go stracić.